**Podróże w XVI wieku – koniecznie z przygodami**

**W czasach średniowiecza i renesansu podróżowali tylko ci, którzy musieli, a naprawdę daleko od domu zapuszczali się głównie różnego rodzaju awanturnicy, uciekający przed krwawą zemstą lub karą śmierci. Ale to, czego po drodze doświadczali, nie da się porównać z przeżyciami współczesnych podróżników.**

Łukasz Czeszumski – autor reportaży o mafii narkotykowej, mógłby wiele opowiedzieć o tym, jak dotrzeć do najbardziej niebezpiecznych zakątków Ameryki Południowej. Ale o dziwo, równie wiele ma do powiedzenia na temat podróżowania po Europie i świecie w XVI wieku – wiedzę tę zgłębił w ramach przygotowań do serii powieści historycznych pt. „Krew wojowników”.

- Podróż z Krakowa do Gdańska zajmowała konno lub Wisłą przynajmniej tydzień. Podróż z Polski do Włoch trwała od kilku tygodni do kilku miesięcy. I nigdy nie było wiadomo, czy uda się taką podróż przeżyć – opowiada Łukasz Czeszumski. - Poznawanie świata wymagało końskiego zdrowia, potężnej wytrzymałości i odporności na niewygody. Zajazdy oferowały w najlepszym razie strawę i napitek oraz nocleg w ciasnej zbiorowej sali lub nawet w stajni. Wszy, pchły i pluskwy były normą, do której trzeba było się przyzwyczaić.

**Świat dla awanturników**

Nic dziwnego, że dla większości mieszkańców XVI-wiecznej Europy podróże były ostatecznością, a nie kwestią wyboru. Podróżowali głównie kupcy i to oni najczęściej dokonywali geograficznych odkryć. Podróżowali kurierzy oraz żołnierze, którzy czasem walczyli daleko poza własnym krajem. Podróżowali także wysocy urzędnicy dworscy i sami władcy – ci mieli przynajmniej o tyle łatwiej, że po drodze przeważnie byli goszczeni na zaprzyjaźnionych dworach.

Polscy szlachcice, których motywowała chęć do poszukiwania chwały na polu walki, nie musieli ruszać w świat. W XVI i XVII wieku na pograniczach Polski i Litwy wojny toczyły się tak często, że rzadko pojawiały się okazje, by ruszać dalej. Ci, którzy zasłynęli ze swych podróży, to przeważnie słynni awanturnicy, tacy jak Stanisław Sobocki, który zbiegł z Polski, by uniknąć kary za morderstwo. Po wielu perypetiach wstąpił do zakonu kawalerów maltańskich, po czym toczył boje na Sycylii oraz w Afryce. Inny znany „podróżnik” – Bartłomiej Nowodworski, służył francuskim królom w wojnach domowych, a potem spędził osiem lat jako rycerz Zakonu Maltańskiego, zdobywając twierdze arabskie w Afryce.

- Jego wyjazd z Polski odbył się w dość dramatycznych okolicznościach, ponieważ zabił on w pojedynku królewskiego dworzanina – opowiada Łukasz Czeszumski. - Jak pisano potem o Nowodworskim: „dla jego rycerskiej duszy wstydem i męką był spoczynek. Nawykły od lat młodych do wrzawy walki, długi czas przeżywszy wśród trudów wojennych, tęsknił do bojów, jak ptak tęskni do powietrza, żeglarz do morza” – cytuje „Żywoty sławnych Polaków XVII wieku” Andrzeja Koźmiana.

Jak wielu było w tamtych czasach ludzi podobnych do Sobockiego czy Nowodworskiego? Ówczesne źródła to najczęściej typowo organizacyjne spisy – listy zaciągów, księgi okrętowe, rejestry królewskie. Tylko nieliczni mogli spodziewać się, że ktoś na piśmie zachowa pamięć o ich losach. A powieści toczone przy ogniskach dawno już uległy zapomnieniu.

**Nieprzejezdne drogi, niebezpieczne statki**

Dziś z Austrii do Włoch przejeżdżamy autostradą. Kiedyś jechało się niemal dokładnie tą samą trasą, przez przełęcz Brenner, ale powoli, konno lub wozem, podczas przeprawy przez góry osłaniając się przed uderzeniami wichrów, marznąc, wypatrując drogi pośród mgieł.

Czy potrafimy wyobrazić sobie jeszcze tę radość, gdy po tygodniach podróży, oczom podróżnych ukazywały się kwitnące ogrody włoskich dolin, a do ich policzków docierały pierwsze promienie południowego słońca? Te krótkie chwile były być może w stanie wynagrodzić wszelkie niedogodności, których podczas podróży nie brakowało.

Na Zachodzie Europy przez całe średniowiecze głównymi szlakami pozostawały drogi rzymskie. Poza skąpą siecią dróg, Europę pokrywały także rozległe dzikie obszary – góry czy bagna, na których szlak często ginął i łatwo było zabłądzić. Mostów budowano niewiele, więc większość rzek trzeba było pokonywać w bród. Deszcze zamieniały szlaki w błoto, a śnieżne zaspy zupełnie wyłączały je z użytku. Dlatego podróże (w tym także wyprawy wojenne) organizowano prawie wyłącznie od wiosny do jesieni. Zima była czasem odpoczynku.

Podróżowano też rzekami i morzem. Taka podróż była nieco szybsza i pozwalała ominąć niedostępne (np. z powodu toczących się wojen) lądy i łańcuchy górskie.

- Ale podróż morska także nie należała do bezpiecznych – mówi Łukasz Czeszumski. - Na statkach panowała ciasnota, a więc i spora szansa na wybuch zarazy. Statek mógł rozbić się na skałach lub utopić podczas sztormu.

**Kosztowne przekraczanie granic**

Brak dróg, wojny i niewygody, to nie wszystkie problemy, jakie czyhały na ówczesnych podróżników. Jeśli sądzimy, że w XVI wieku człowiek był bardziej niż dziś wolny i nie dotyczyły go formalności graniczne, jesteśmy w błędzie. Już w średniowieczu miasta ściągały cła od kupców, a popularne „prawo składu” czyniło tranzyt nieopłacalnym. Lokalni władcy ściągali myto za przejazd przez swoje tereny, a także za korzystanie z dróg czy mostów.

- Podróżny udający się do Hiszpanii musiał zapłacić na granicy wysokie cło od wszystkich wwożonych przedmiotów i konia. Z kolei w miastach Włoch, które żyły w bezustannym strachu przed epidemiami, zabraniano wjazdu każdemu, kto nie legitymował się podpisanym przez uznanego medyka świadectwem zdrowia. Takie świadectwo było dość kosztowne, kwitł więc handel fałszywkami – podaje Łukasz Czeszumski.

Do tego dochodzą jeszcze prześladowania religijne. Cyganie byli w Europie przeganiani z miejsca na miejsce, więc w końcu zaczęli udawać „chrześcijan z Egiptu”. Żydzi mieli swobodę wyznania np. w Polsce, ale już np. w uchodzącej za tolerancyjną Wenecji, mogli się osiedlać tylko na wyspie Gettare (stąd zresztą wywodzi się słowo „getto”).

Poza tym nie brakowało rozmaitych zbójców. Złodzieje grasowali nie tylko na odludziach, ale wszędzie tam, gdzie mogli liczyć na solidne łupy, np. na głównym szlaku prowadzącym do Rzymu. Zbójeckie bandy często prowadzone były przez uzurpatorów udających miejscowych książąt. Nie do pomyślenia było podróżować przez obce ziemie bez broni, a nawet wskazane było posiadanie zbrojnej eskorty.

**Zmyślona historia o prawdziwym świecie**

Zebrane materiały dotyczące podróżowania i życia w XVI wieku, Łukasz Czeszumski wykorzystał we wspomnianym cyklu powieściowym „Krew wojowników”. I choć sam bohater – polski szlachcic Jarosław Burzyński – to postać fikcyjna, całe tło historyczne oraz szczegóły życia codziennego opierają się na wiarygodnych źródłach. Dzięki powieści możemy więc poznać Europę i świat, o jakich nie czytaliśmy w popularnych podręcznikach historii.

- Wiele miejsc, w których rozgrywa się akcja książki, odwiedziłem osobiście a później szukałem informacji historycznych na ich temat. Dopiero połączenie moich doświadczeń, teorii historyków oraz dawnych przekazów złożyło się na kompletną wizję opisywanych wydarzeń, atmosferę krain i miast – mówi autor. - Przy pisaniu książki sporą pomocą były też dla mnie obrazy XVI-wiecznych malarzy. To świetny sposób, aby poznać ówczesne stroje, architekturę miast, a także odzwierciedlenie codziennych tęsknot, strachów i nastrojów, jakimi żyli ludzie epoki – przekonuje Łukasz Czeszumski.

Jarosław przeżywa wszystko to, co było doświadczeniem podróżnika w XVI wieku. Często włóczy się na oślep, bez wyraźnego celu – po prostu szukając przygód. Jadąc przez dzikie Karpaty śpi w lesie, poluje aby zdobyć pożywienie. W Siedmiogrodzie trafia do zbójeckiej bandy, omotany słowami jej herszta o tworzeniu nowego ładu. We Włoszech stanie się prawą ręką zdeprawowanego księcia, dzięki czemu pozna świat władzy i zakulisowych rozgrywek. Po przygodach w Hiszpanii i krótkim epizodzie w Afryce wsiądzie na pokład okrętu zmierzającego do Nowego Świata. To punkt przełomowy – konfrontacja dwóch światów, dwóch kultur i dwóch sposobów postrzegania rzeczywistości. Dalej następuje eksploracja Ameryki Południowej, niezmierzonych dżungli i tajemniczych indiańskich imperiów…

- W tamtych czasach nikt nie znał dnia ani godziny, żyło się w ciągłym zagrożeniu. Paradoksalnie, dzięki temu bardziej ceniło się życie. Świat był żywiołowy i pełen skrajności. Z jednej strony religijność, którą dziś określilibyśmy jako fanatyczną, z drugiej powszechne okrucieństwo i niesprawiedliwość. Szubienice przed bramami miast, które symbolizowały „prawo”, porządek wymuszany przez władców krwawymi metodami, a obok zbrodnia i rozbestwienie – wymienia autor „Krwi wojowników”.

Dziś kupujemy przez Internet bilet taniej linii lotniczej albo wsiadamy w autokar. Interesuje nas tylko dotarcie do punktu docelowego. Świat jest w zasięgu kilku czy kilkunastu godzin lotu. Ale czy nic nie tracimy? Krajobrazy oglądamy z okien samolotu. Nawet jadąc samochodem widzimy tylko okolice autostrady, krajobrazy nudne i monotonne. Świat globalizuje się, różnice między krajami zanikają.

Dawne podróże były nieporównywalnie dłuższe, trudniejsze i bardziej niebezpieczne, lecz dawały zupełnie inną możliwość percepcji. Jeśli dziś nadal twierdzimy, że podróże zmieniają ludzi, to w odniesieniu do podróżników sprzed kilku wieków nie byłoby przesadą stwierdzić, że ich zmieniały po wielokroć. „Krew wojowników” to cykl powieściowy, którego osią jest właśnie jeden z takich awanturniczych losów – pełen przemian dokonujących się za sprawą kolejnych podróży.

[**Strona autora książki "Krew wojowników"**](http://czeszumski.com)